

WSPÓLNY DÓŁ.

Był dzień fortunny dla cmentarnej ciszy,
Przybyło naraz aż trzech towarzyszy;
Naraz trzy trumny wrzucono pospołu,
Do wspólnego dołu.

Sypnęli piaskiem i zrównali ziemię,
Kędy ciążyło trojgu życia brzemie,
I pył ludzkiego zamieciony śladu,
A na mogile nie ma nawet krzyża;
Za to się uczta gotowała świeża,
Dla podziemnego robactwa i gadu.
Trumna o trumnę otarła się głucho,
Potém szmer jakiś przerwał ciemną głuszę,
Jak gdyby zmarli, albo zmarłych dusze,
Coś sobie z trumny szeptali na ucho;
Jak gdyby pamięć, śród martwego ciała,
Ostatnim życia tchem się kołysała,
I tlejącego ducha w mdłej iskiecce,
Nie docisnęły śmierci upowicia,
Piers biła jeszcze, a zbolełe serce
Nie dopłakało wszystkich łez za życia.

Robak znęcony świeżym śmierci łupem,
Pod jednej trumny przedarł się już wieko,
Pełzał po ciele i siadł nad powieką,
A rozmyślając przed ucztą nad trupem,
—Ktoś ty? zapytał.—Biedak, trup odrzeczcie:
„Nędza wygryzła krwawe na mnie ślady,
Skóra a kości zostały człowiecze,
Nie będziesz sutój miał ze mnie biesiady.
Z prostój Bóg uplotł dolę moją przedzy,
Wyszedłem z gminu i żyłem wciąż w nędzy,
Bo próżno biedak dróg przed sobą szuka,
Nie wyjdzie z cienia, a droga omyli;
Ludzie mnie czytać z ksiąg nie nauczyli,
Spała więc głowa twardym snem nieuka;

Zostały ręce: duch wrzał niespokojnie,
 Za młodu żołnierz, kaleka po wojnie,
 Więc niedołężną ręką było trzeba,
 Na kęs suchego zapracować chleba.
 I w pocie czoła tak pobiegły lata,
 O resztę nawet nie warto i pytać;
 Potém mnie biada nauczyła czytać
 W otwartej książce przyrody i świata—
 Ale tém większy żal za serce chwyta,
 Gdy się człek ze snu twardego oobudzi,
 I w każdym miejscu tej książki wyczyta,
 Wszechmocność Boga—a niedolę ludzi!
 Pchałem więc ciężką życia mego taczkę,
 A gdy do pracy brakło już sił w ciele,
 Dalej w świat z torbą na podłą zebraczkę,
 I śmierć zastała dziadem przy kościele.”

Robak choć nierad trupa się wyrzecze,
 Nie dotknął tego—i odpelzł daleko,
 Miał widać serce—i to nie człowiecze,
 Bo uczuł litość—i pod drugiej wieko
 Wsunął się trumny. Siadł na trupiej głowie,
 A głodnym zębem nim wziął się do czynu,
 „A ty kto? spytał. Głos z trumny odpowie:
 „Młoda dziewczyna, proste dziecko z gminu,
 Zeszłam na ziemi jak kwiatek wśród pola,
 A wykarmiła mnie matka-niedola.
 Nie wiem, za karę czy może w nagrodę,
 Bóg dał sierocie i kwiatka urodę.
 Więc na twarz wdzięczną świat nastawiał sidła,
 Lecz mój stróż-anioł brał mnie pod swe skrzydła,
 Ilekroć chwiejne kroki szły do zguby,
 I wysłał czysta jak łza z ziemskiej próby.
 Chleb ciężkiej pracy gryzłam od powicia,
 Losem ubóstwo, przytułkiem poddasze,
 A młode serce rwało się do życia,

Jak do słońca ptasze.

Patrzac na niebo gdzie tyle gwiazd jasnych,
 Patrzac na ziemię, gdzie taka moc kwiatków,
 Pletłam wianeczek z myśli moich własnych,
 Z myśli podobnych do róż i bławatków,
 I tym wianeczkiem zdobiąc młode czoło,
 Z ptaszkami piosnkę śpiewałam wesoło.
 Lecz idąc dalej a dalej żywotem,
 Wszystko się jadem stawało zatrute,
 Rozplotł się wianek, a potém — a potém
 Brakło i piosnki—chyba na łez nutę.
 To nie że praca do ziemi mnie gniotła,
 Nie praca z duszy wesołość wymiotła,

Ale zli ludzie, którzy wciąż niebodze
 Stali ze śmiechem na sierocój drodze,
 I mdłą gołąbkę gnali niepokojem;
 Jak żołnierz w boju, szłam w życiu przebojem,
 A jak dziewczyna w przestrachu i trwodze.
 Świat patrząc na mnie osądził jak inne,
 Ludzie patrzyli, nie wierząc w obłudzie,
 Że biedne dziewczę może być niewinne,
 Że jest niewinność gdzie są tylko ludzie.
 A gdy dzień przyszedł i na mnie sierotę,
 I serce—dotąd we łzach w poniewierce,
 Padło na drugie, zgodne sobie serce,
 Dlatego właśnie uwierzyła w cnotę
 Tego, co rajem przerwał dni mych głuszę,
 Że był ubogim, że miał prostą duszę.
 To Ty wiesz tylko, Ty wiesz Boże! co to,
 Gdy na samotném pustkowiu żywota,
 Zakwitnie miłość—i biedna sierota
 Powiedzieć może: jużem nie sierotą,
 Już świat nie pustką, życie nie bezdrożem,
 To Ty wiesz tylko, Ty sam mocny Boże!
 Ale nie długo trwał słodki sen serca,
 Wyjrzał z pod maski zdradny przeniewierca,
 A gdy mych uczuć nie nie przeinaczy,
 Brakło już dalej na życie oddechu,
 Chciałam ból zamknąć w pogardy uśmiechu,
 I pękło serce z bólu i rozpaczy....
 Duch wyszedł z ciała i dążył ku niebu,
 A zmarłej nawet nie dali pogrzebu,
 Tylko uniosłszy śmiertelne ostatki,
 Cisnęli na stół, jak mięso na jatki,
 Wyjęli serce, rozdarli na sztuki,
 Na jakąś próbę, dla jakiejś nauki;
 Potem zebrane w czterech deskach szczątki,
 Przeszłe przez wszystkie bóle ziemskiej nędzy,
 Bez czci dla zmarłej i życia pamiątki,
 Do tego dołu rzucili czémprędzej.”

Robak zrozumiał, snąc go zał ucisnął,
 I skarg sierocych poruszyło brzemię,
 Bo popęłzył dalej, głębiej zarył ziemię,
 I w środek trzeciej trumny się przecisnął.
 Już wietrząc zdobycz, marzył o biesiadzie,
 Polazł po trupie i siadł mu na czole,
 Gdy się głos ozwał: — „Dokończ ziemny gadzie,
 Co świat nie dogryzł, nie dojadły bóle;
 Póki trup nie skrzepł i krew nie ochłodziła,
 Z ostatnim jękiem życie nie wyciekło,

Wgryź się do mózgu, napij się ze źródła,
Zkąd raj uniesień i męczarni piękło.
Gmin był mym ojcem a ubóstwo stanem,
A nad kolebką, okrytą łachmanem,
Bóg—jak na gorzką igraszkę ubóstwa,
Zawiesił jasny promień swego bóstwa.
Ale stan nędzy, to przekleństwa znamie,
Łza go nie zetrze, ni skarga rozkruszy,
A gdy męckiego hart ducha go złamie,
Zostanie jeszcze taka gorycz w duszy.
Zostanie jeszcze jęk tak rzewnej nuty,
Że je i wyższe myśli nie ukoją;
To płacz dziecięcia, skarga i wyrzuty,
Co się o krzywdę upomina swoją.
Biegł rok za rokiem jak w potoku woda,
A z każdą chwilą biegła i myśl młoda,
Siadła na kwiatku, myśla się w pól rosie,
Grzała przy słońcu—zasłuchać się rada,
Co mówi strumyk, co ptak rozpowiada,
Przy barwach tęczy i blasku jutrzeńki—
I w tym zmieszanych harmonij chaosie,
Szukała nuty i słów do piosenki,
Co w niej już drgała ukrytych tętn ruchem,
Jako dymiący wulkan przed wybuchem.
I słońko, strumyk i śpiewacy leśni,
Dali natchnienie, dali nutę pieśni.
Lecz gdy przed okiem i duszą prostaczą,
Stało życie jak widmo w przezroczu,
Ach! Łza pociekła z zacienionych oczu,
Łza bolejąca i niewypłakana,
Jaką anieli tylko Pańscy płaczą,
Gdy spojrzą w ziemię—i nagle obaczą
Na boskiem dziele, straszną dłoń szatana.
Szedłem w świat duchem—szło życie przedemną,
I rozwijało losów ludzkich przedzę.
Uwite jakąś ręką potajemną:
Tu śmiech wśród płaczu, dostatki i nędze,
Tu piers bijąca obok trupiiej czaszki,
Skupione razem, jakby dla igraszki
Wszechmocnej siły—przeciwieństw bez końca!
W dole kir smutku, u góry blask słońca,
Przeciągający po niebios przezroczu,
W pogodzie, w ciszy—jakby pod tém niebem,
Nie było nędzy i spłakanych oczu,
I nie szedł co krok pogrzeb za pogrzebem
Jakiegoś szczęścia—i nie było grzechu
Obojętności, serc ukutych z spiżu,

I nad to wszystko straszniejszego -- śmiechu
 Z łez rozpiętego na męczeńskim krzyżu...
 I ból rozlany po sercu prostaczem,
 Zmienił się w jeden hymn obłany płaczem,
 A hymn bez słowa, z nieruchomą wargą,
 Płynął do góry skrzydłem ptaka hyżem,
 Darł się w obłoki, biegł do gwiazd ze skargą,
 I ustóp Boga rozścielał się krzyżem.
 Tak gdy samotna a bólem natchniona,
 Pieśń puste wkoło echa tylko budzi,
 Zdjęła tęsknota do świata i ludzi;
 Lecz próżnom bratnie wyciągał ramiona,
 Chciał do serc sercem zbliżyć się wylanem,
 Świat mnie odepchnął, bo świat pod łachmanem
 Nie dojrzał człeka... Więc z sercem zwątpiałem,
 Sam pośród tłumu, chętny śród niechętnych,
 Czułem za wszystkich w świecie obojętnych,
 Za wszystkie szczęścia na ziemi — cierpiałem.
 Potém, duch taką wziął nademną władzę,
 Zem nie stał myślą z ludźmi w równowadze,
 Wybiegłem z ziemi, a wzniosłszy lot w górę,
 Łachman — w gwiazd jasnych odziałem purpurę,
 Śpiewając w nędzy, na życia popiołach,
 Tylko o szczęściu, tylko o aniołach.
 Świat z wyschłych oczów nie zdjął ziemskiej chmury,
 Patrzył na łachman — nie dojrzał purpury,
 Więc siłę ducha, co się ukrył w żalu,
 Zimnego zmierzył rozsądku poziomem,
 Nie wyrozumiał — więc uderzył gromem —
 I w obłąkanych skończyłem szpitalu...
 Potém — cóż potém? Czas poleciał hyży,
 Wyczute bolem, pękły życia struny,
 Pieśń wicher rozwiał, może poniósł wyżej,
 A ciało — w śmierci owiane całuny,
 Wspólny dół zamknął bez śladu i wieści...
 Resztę ty dokończ!"

Robak się nie ruszył,
 Tak go słów potok oblał i ogłuszył;
 Bez tehu bolesnej wysłuchał powieści,
 A wysłuchawszy cierpliwie do końca,
 Zśliznął się z ciała i popelzł czémprędzej,
 W głąb ciemnych mogił i podziemnych dolów,
 By tchem zastygłych odetchnąć popiołów,
 Nie słysząc żywych, i uciec od słońca,
 Pod którym tyle łez, bólu i nędzy.

I w głębi ciemnej ucichło mogiły,
Domilkły usta i serca dobiły,
A czucia, myśli i piosnki i zale,
Głuchej wieczności upowiły fale,
Na sen bez mary, na spoczynek wieczny,
Z którego chyba ockną się i wstaną,
Gdy po śnie wieków, zejdzie Boże rano,
Budzące wszystkich na sąd ostateczny.

Henryk Cieszkowski.

